



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Powrót z łowów. — Za myśliwcami.

Do młodszych braci.

Do was piosnka się wyrwa,
Młodzi przyjaciele,
Z ukochanych stron.
I, jak kosiarz w złote żniwa,
Niesie plony i wesele
I słoneczny ton.

Blaskiem szczęścia was oplecie
I do snu ułoży,
W słodkich marzeń mgłę,
O prawdziwym mówiąc świecie,
Promieniejszy zorzy
I uroczym śnie...

I do prawdy niechaj kroczy
I miłością sieje,
Pozłocisty siew,
A w młodzieńczych dusz przezroczy
Niech wyolbrzymieje
Mój serdeczny śpiew.

Zygmunt Idzikowski.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XV. Co nam chemia może powiedzieć o atomach?

Chyba w tłumaczeniu tych wszystkich tajemnic, nad jakimi nieraz zastanawialiśmy się w powyższych rozdziałach, uczeni przyjęli pewne przypuszczenie, czyli jak się mówi, pewną hipotezę, w gruncie rzeczy bardzo prostą. Według tej hipotezy, każda substancja jest zbiorowiskiem pojedynczych atomów: kawałeczek siarki, trochę złota, żelaza, miedzi, fosforu, jednym słowem każdego chemicznego pierwiastku nie jest niczem innym, jak tylko zbiorowiskiem niezmiernie drobnych cząstek tegoż pierwiastku. Pojedynczego atomu siarki albo też jakiegokolwiek bądź innego pierwiastku nie możemy dojrzeć z powodu jego małych rozmiarów, najsilniejsze nawet szkła powiększające nie wystarczają do tego celu. Każdy kawałeczek pierwiastku najmniejszy z pomiędzy tych, jakie możemy jeszcze dostrzedz, jest bezwątpienia dużym skupieniem pojedynczych atomów. Widzimy więc tylko zbiorowiska, ale nigdy cząsteczki, z których one się składają. Nasi przodkowie, patrząc na krew albo na zieloność liścia, tak samo widzieli tylko jednostajną czerwonosć, albo zieloność, kiedy jednak wynaleziono mikroskop, to przy jego pomocy dostrzegliśmy, że krew jest właściwie białym płynem, w którym znajduje się mnóstwo czerwonych ciałek; tak samo zielona barwa liścia pochodzi od obecności w nich drobnutkich cząsteczek zieleni roślinnej (chlorofilu).

Zupełnie tak samo siarka rozpatrywana pod mikroskopem wydaje się nam jednostajnie żółtą dlatego, że nie posiadamy narzędzi o tyleż potężniejszych od mikroskopu, o ile ten jest silniejszym od naszego oka. Gdybyśmy jednak wynaleźli takie narzędzie, to zapewne zdołalibyśmy wykryć obecność atomów w siarce, albo w każdym innym pierwiastku. Zresztą jest to tylko przypuszczenie. Badania chemiczne, niezależnie od innych okoliczności zmusza-

ją nas atoli przyjąć, że wszystkie substancje na pozór jednolite są w gruncie rzeczy zbiorowiskiem wielkiej ilości niezmiernie drobnych cząsteczek, zwanych atomami, które trzymają się razem, ulegając wzajemnej sile przyciągającej.

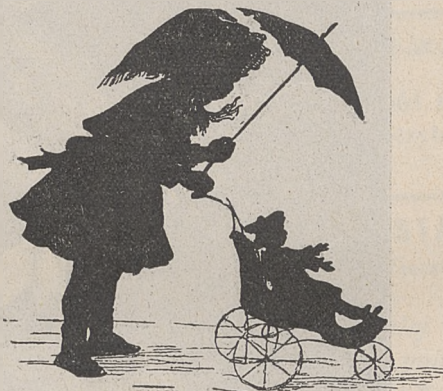
Bardzo zależy nam na tem, ażeby czytelnik wyrobił sobie, o ile się da, jak najjaśniejsze pojęcie o atomach, dla tego też dodamy następujące streszczenie tego, cośmy powiedzieli wyżej.

Podług chemii nowoczesnej wszystko, co tylko się znajduje w świecie, składa się z atomów, które skupiają się, ulegając działającej pomiędzy nimi sile przyciągającej, ale nie stykają się ze sobą; substancja jakaś wtedy dopiero staje się dla nas widzialną, jeżeli bardzo wielka liczba atomów nagromadzi się w jednym miejscu. Oko nasze jednak nie dostrzega tych atomów, lecz tylko ich zbiorowisko, tak samo, jak patrząc z daleka na mieliznę nie dostrzegamy składających ją ziarneczek piasku. Jest prawdopodobne, że pomiędzy atomami znajdują się znaczne puste przestrzenie, większe aniżeli same atomy.

Wl. U.

List Helenki J. czytelniczki „Wieczorów.”

Kochana Mamo!



Z wystawy gier i zabawek.

Dzisiejszy list będzie weselszy niż poprzedni, bo chociaż nie przestałyśmy obie z Wandzią tęsknić za rodzicami, domem, końmi, krowami, psami, słowem za wszystkim, co żyje i nie żyje w Sokołowie, bo tęskniemy nawet do pól i do gór naszych kochanych, to jednak zaczyna

nas interesować Warszawa, zwłaszcza, że przełożona umie za cel spaceru wynaleźć zawsze coś zajmującego. Byłby on inaczej bardzo nudny; iść parami po chodniku, nam, które skakałyśmy dotąd jak kozy po wzgórzach lubelskich!

Kozy! wyrwało mi się z pod pióra złośliwe słowo, a spotykamy się z nim często, chociaż jak mamę kocham, niesłusznie. Przecież zdałyśmy egzamin do czwartej klasy i umiemy zachować stosowną powagę.

Ale wracam do wczorajszego spaceru. Przełożona powiedziała, że pójdziemy na Dynasy obejrzeć wystawę gier i zabawek.

Dynasy? wystawa zabawek? pierwsze nic nam nie mówi, bo nie słyszałam nigdy o Dynasach, drugie, dobre dla dzieci, dla naszej Zosi lub Anki, ale nie dla czwartoklasistek.

Nie wiem, czy przełożona odgadła moje myśli (a ona doprawdy zdaje się czytać w duszy uczennic) dodała jednak natychmiast objaśnienie:

— Dynasy, jest to ogród założony przez Towarzystwo Cyklistów, na posesyi należącej dawniej do księcia de Nassau i ztąd powszechnie Dynasami zwany, a wystawę urządził komitet opieki nad unysłowo i nerwowo chorymi. Do pomocy swoim udziałem szlachetnej działalności komitetu, który zebraniem z wystawy funduszami, chce ulżyć

nieszczęśliwym. Zobaczycie przy tej sposobności, jakie też fabrykanci polscy u nas wyrabiają zabawki.

— Prawda, nie pomyślałyśmy o tem, że obchodzić nas powinno wszystko, co krajowy przemysł wytwarza.

Słowa przełożonej zelektryzowały całą klasę, uczenie były w jednej chwili gotowe; poprowadzono pensję w stronę miasta, której ani ja, ani Wańdzia nie znałyśmy dotąd.

— Jakaż szkaradna, wazka, ciemna, ta ulica Oboźna — narzekały panienki; myślałam i ja toż samo, ale teraz nie dzieliłam już ich zdania. Mama wie, że jestem najwyższa w klasie, pierwsza też dojrzałam śliczny widok, który rozciąga się z góry na Wisłę i na Pragę.

Chodziłam dotąd zawsze tylko po Marszałkowskiej i przyległych do niej ulicach, nie domyślając się wcale, że Warszawa ma tak urocze niespodzianki, że można tu odechnąć przestrzenią i widokiem fal rzeki, trzeba tylko wyjść poza żółte kamienice Krakowskiego Przedmieścia. Jesteśmy na Dynasach

To znaczy, że wchodzimy do ładnego, na stoku góry położonego ogrodu. Przełożona kupuje bilety a my tymczasem mamy ochotę parami, tak jak stoimy, zatańczyć mazura, bo słyhać z daleka dźwięki dziarskiej muzyki. I coby to było złego, proszę mamy, gdyby wesoła pensyonnańska drużyna wpadła mazurem do ogrodu.

— Lub do stawu — mówi Rozsądna. Tak nazywamy koleżankę, która oblewa zimną wodą moje najszcześniejsze pomysły.

Tym razem Rozsądna ma słusność, jest na Dynasach bardzo ładna sadzawka z łódkami w formie łabędzi, ale nie zbaczamy do nich, tylko wchodzimy we drzwi dużego pawilonu, i ja, która z takim lekceważeniem myślałam o wystawie zabawek, tracę odrazu głowę. Mama powie, że przychodzi mi to z łatwością, ale tym razem straciła ją nawet Wańdzia, nawet Rozsądna.

Bo proszę posłuchać, ile tu ślicznych zgromadzono rzeczy. U samego wejścia pan Kessel, fabrykant lalek, ustawił dwa rzędy blondynek i brunetek od najmniejszej do największej. Dawno przestałam się bawić lalkami, a jednak na widok tyłu i tak dobranych, serce zabiło mi prędkiej, byłabym chętnie pocałowała ich rumiane buzie, udałam obojętną jak przystało naj. chciałabym napisać najmądrzejszej, nie, mamusi, tylko najwyższej czteroklasistce.

Wracam do lalek, królują one na wystawie, jest ich tyle i tak pięknych. Gdyby Anka lub Zosia mogły zobaczyć te cuda!

Pierwszeństwo jednak jak we wszystkim, tak i w lalkach należy się komitetowi. Komisya pedagogiczna wybrała cały szereg zabawek i gier, które uznaje za najwłaściwsze dla dzieci, a oprócz tego Komitet urządził własny pawilon a w tym pawilonie, co za śliczny pomysł, wystawił sto lalek ubranych w stroje ludowe różnych okolic kraju. Omal nie krzyknęłam z radości, widząc swojskie znane typy, samodzielny opoczyński i strój weselny z okolic Buska i muślinowe fartuchy krakowianek i sukmany lubelskich chłopów. Zdawało mi się, że wróciłam do Sokołowa, że idę z Wańdzią przez wieś, że otoczyły nas znajome dziewczęta. Staje, patrzę, napatrzeć się nie mogę, a tu tuż za mną zaczyna ktoś, czy coś, śpiewać:

— Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrej wody rosła potokiem. —

— Nie, to nie wieś, to nie fujarka pastusza, jest coś sztucznego w tym śpiewie, pomyślałam i miałam słusność. Znajome tony wychodziły z gramofonu, to jest z przyrządu, który odtwarza głos ludzki.

— Tę kasztelanę z szesnastego wieku i tę mieszczkę krakowską darował komitetowi pan Bobrowski kupiec, a ubrał lalki pan Herse — mówi przełożona.

Znów lalki, a jak pięknie, wedle Matejki rysunków przystrojone! Jednak nie chwytają za serce, wyglądają

obco przy wystawionej przez Komitet wiejskiej drużynie, do tych wracałyśmy po kilka razy.

(d. n.)

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)

Czy mogą nas widzieć z ziemi?
— Dlaczego się pan o to pyta?
— Bo jeden z moich znajomych zajmuje się astronomią, zdziwiłby się niepomąłu, gdyby tak przez teleskop zobaczył mnie tutaj.

— Gdyby ktoś patrzący z ziemi użył nawet najsilniejszego teleskopu, to jużby nas chyba nie dojrzał.

Milczeliśmy chwilę. Ja znów przerwałem milczenie i zapatrzyłem w księżyc zawołałem.

— Ależ to cały świat, wydaje się większym od ziemi, może tam są nawet ludzie.

— Ludzie! nigdy, — zawołał Cavor. Wystaw pan sobie, że jesteśmy podróżnikami, zwiedzającymi puste przestrzenie i kraje.

— Patrz pan!

I wskazał ręką na złoty księżyc do którego przybliżyliśmy się coraz bardziej: — To świat zamarły! Wielkie wypalone wulkany, góry zastygłej lawy, zamrożone powietrze i kwas węglany, wszędzie grunt nierówny i pełno przepaści. Przecież od dwóch wieków badają systematycznie tę planetę przez teleskopy, i wiesz pan jakie zmiany na niej dojrzeliby?

— Żadnych.

— Prawie żadnych, bo jedynie jakieś szczeliny, wyniosłości i peryodyczną lekką zmianę koloru.

— Ja nawet i o tem nie wiedziałem.

— Ludzi tam niema napewno.

— Powiedz mi pan, — zapytałem, — jakiej najmniejszej wielkości musiałby być przedmiot, żeby go dojrzeć z ziemi przez teleskop, rozumie się?

— Jakiś wielki kościół, lub inną wysoką budowlę, duże miasto i tem podobne dzieła rąk ludzkich. Podług dokonanych badań, istoty nam podobne, nie mogłyby tam żyć, gdyż na tej planecie jeden dzień trwa naszych dni 15, a po nim następuje równie długa noc. W dzień słońce pali ogromnie i upał jest nie do wytrzymania, a noce są lodowato zimne, tak, że tylko mrówki, owady lub istoty zupełnie różne od ludzi mogą tam zamieszkiwać, kryjąc się na noc w ziemię.

Cavor zamyślił się, a w końcu dodał.

— Mogą tam być jakie robaki, żywiące się stałem powietrzem, tak jak glizdy żywią się ziemią, albo też jakie gruboskórne straszzydła.

— W takim razie, — rzekłem, — szkoda żeśmy nie wzięli broni. — Cavor nic na to nie odpowiedział, tylko pochwili rzekł, iż chce, aby przez jakiś czas nasza ziemia nas znowu przyciągała, i w tym celu chce zwinąć okiennice od strony ziemi. Mnie zaś uprzedził, że doznam zawrotu głowy, i ostrzegł, żebym wyciągnął przed siebie ręce, gdyż pewnie upadnę wskutek takiej zmiany kierunku. Postąpiłem według jego rady. W tej chwili zwinął okiennice, a ja upadłem jak kłoc na twarz i ręce, lecz przez trzydzieści sekund mogłem patrzeć na matkę ziemię. Byliśmy jej jeszcze dosyć blisko, Cavor mówił, że cała odległość wynosiła najwyżej ośmset mil, to też wielka kula ziemską zakrywała nam całe niebo które widać było przez to okno.

Cień i mgły ją otaczały, jednakże na zachodzie widziałem wyraźnie srebrne fale Atlantyku, ujęte w ciemne brzegi starego i nowego kontynentu.

Cavor zamknął okno. Ciemność zaległa wewnątrz sfery, ja znów uczulem się dziwnie lekkim i jakby odurzonym. Podług zegarka Cavora lecieliśmy już sześć godzin, a dotąd wcale nam się jeść ani pić nie chciało. Cavor obejrzał aparat pochłaniający kwas węglany i wodę, i powiedział, że znajduje się w zupełnym porządku, zużyliśmy bardzo mało tlenu. Ażeby nie osłabnąć, przekąsiliśmy troszkę, a czując chęć snu, rozesłaliśmy na szklanej podłodze nasze grube wełniane kołdry i powiedziawszy sobie „Dobranoc,” zasnęliśmy snem sprawiedliwych.

* * *
W taki sposób: czytając, rozmawiając, śpiąc lub odżywiając się po trochu, gdyż nigdy w ciągu całej podróży nie czuliśmy głodu, zbliżyliśmy się do księżyca.

Pamiętam tę chwilę doskonale. Cavor zwinął nagle aż sześć okiennic i wielka światłość tak mnie olśniła, że aż oczy zabolowały i krzyknąłem. Gdy już mogłem spojrzeć na księżyc, ujrzałem jakby wielką tarczę srebrną z czarnymi brzegami, na której oświetlone słońcem, odcinały się wyraźnie szczyty i łańcuchy gór. O ile części wyniosłe planety kapały się w blasku słonecznym, o tyle doliny i płaszczyny pokrywały głębokie cienie. Podług obliczeń Cavora byliśmy w tej chwili oddaleni od księżyca tylko o mil sto, i dla tego widzieliśmy zupełnie jasno paszcze wygasłych wulkanów, śniegiem pokryte szczyty gór i płaszczyny brązowe lub koloru oliwkowego.

Cavor z natężoną uwagą patrzył na księżyc i coś obliczał, gdyż teraz nadeszła najkrytyczniejsza chwila naszej wyprawy — wylądowanie na księżyc. Otwierał i zamykał Cavoritowe okiennice, patrzył na zegarek, kręcił się nieustannie.

Chodziło o to, aby spaść bez uderzenia, lekko. Gdy wszystkie okna były spuszczone, ciemność chwilowo zaległa wewnątrz kuli. Naraz Cavor otworzył cztery okna i zdało mi się, że ogień napełnił domek tak ogromny blask słońca wdarł się do nas z dołu. Potem je zamknął i przy świetle lampki elektrycznej zaczęliśmy związywać razem nasze bagaże, bujając w środku kuli. Nie było to jednak łatwą sprawą: gdyż płynąc, że tak powiem w powietrzu wypełniającym wewnątrz kuli, to uderzałem sobą o jego szklane ściany, to machałem bezsilnie rękami i nogami w powietrzu, niekiedy nogi Cavora dotykały mej głowy, lub moje nogi były przed jego oczami, ale w końcu dokonaliśmy dzieła, wszystko było mocno związane, z kołder zaś wełnianych porobiliśmy sobie naprędce płaszcze podróżne.

— Teraz Cavor zwinął znów jedną okiennicę, i ujrzałem, że jesteśmy nad ogromnym kraterem wygasłego wulkanu, za chwilę utworzył wszystkie, bo chciał powiększyć działanie siły przyciągającej nas do księżyca.



Przy świetle lampki elektrycznej zaczęliśmy związać nasze bagaże, bujając w środku kuli.

Obfita rosa zaczęła spływać wewnątrz po szklanych ścianach kuli. Chciałem obetrzeć z rosy jedną szybę, aby widzieć co się dzieje na zewnątrz, lecz że użyłem do tego mojej wełnianej kołdry, której włoski wraz z rosą zupełnie szkło zamazały, nie mogłem przeto nic zobaczyć. Na domiar złego pośliznąłem się na szklanej podłodze, i upadając mocno skaleczyłem sobie nogę o metalowy cylinder.

— Niech licha porwie! — zawołałem w pasyi. Jeżeliś tu po to przyjechali, aby dusić się w tej ciemnej klatce, lepiej było siedzieć w domu.

Owinąłem się w kołdrę i zdesperowany, usiadłem na stosie naszych bagaży.

Po chwili dreszcz mnie ogarnął i zacząłem drzeć z zimna, spojrzałem na okno a tam rosa zastygła już w sople lodu. Widząc to Cavor, rzekł: — Czy możesz, pan, dosięgnąć ręką elektrycznego ogrzewacza? Ten duży czarny guzik, naciśnij pan, bo zmarzniemy.

Nie dałem sobie tego powtarzać dwa razy, i w krótkce ciepłej nam się zbiło.

— Dokąd tak będziemy czekali? zapytałem.

— Dopóki dzień się nie zrobi, — odrzekł Cavor spokojnie. — A czy pan nie czuje głodu? Możebyśmy co zjedli, — dodał zachęcająco. Nie odpowiadałem mu długą chwilę, byłem zły na niego, na księżyc i na siebie, spojrzałem na Cavora i rzekłem smutnym głosem: — Tak, jestem głodny, i czuję się okropnie zawiedzony.

Spodziewałem się — ja nie wiem dobrze czego się spodziewałem — ale nigdy tego.

Uzbrowszy się jednak w spokój filozoficzny, usiadłem na pace i zacząłem spożywać mój pierwszy posiłek na księżycu. Zdaje mi się jednak, że go nie skończyłem, bo powoli mgły się rozwiały, rozwidniło się nagle, więc obadwaj poskoczyliśmy do okna, aby spojrzeć na księżycowy krajobraz.

(d. c. n.)

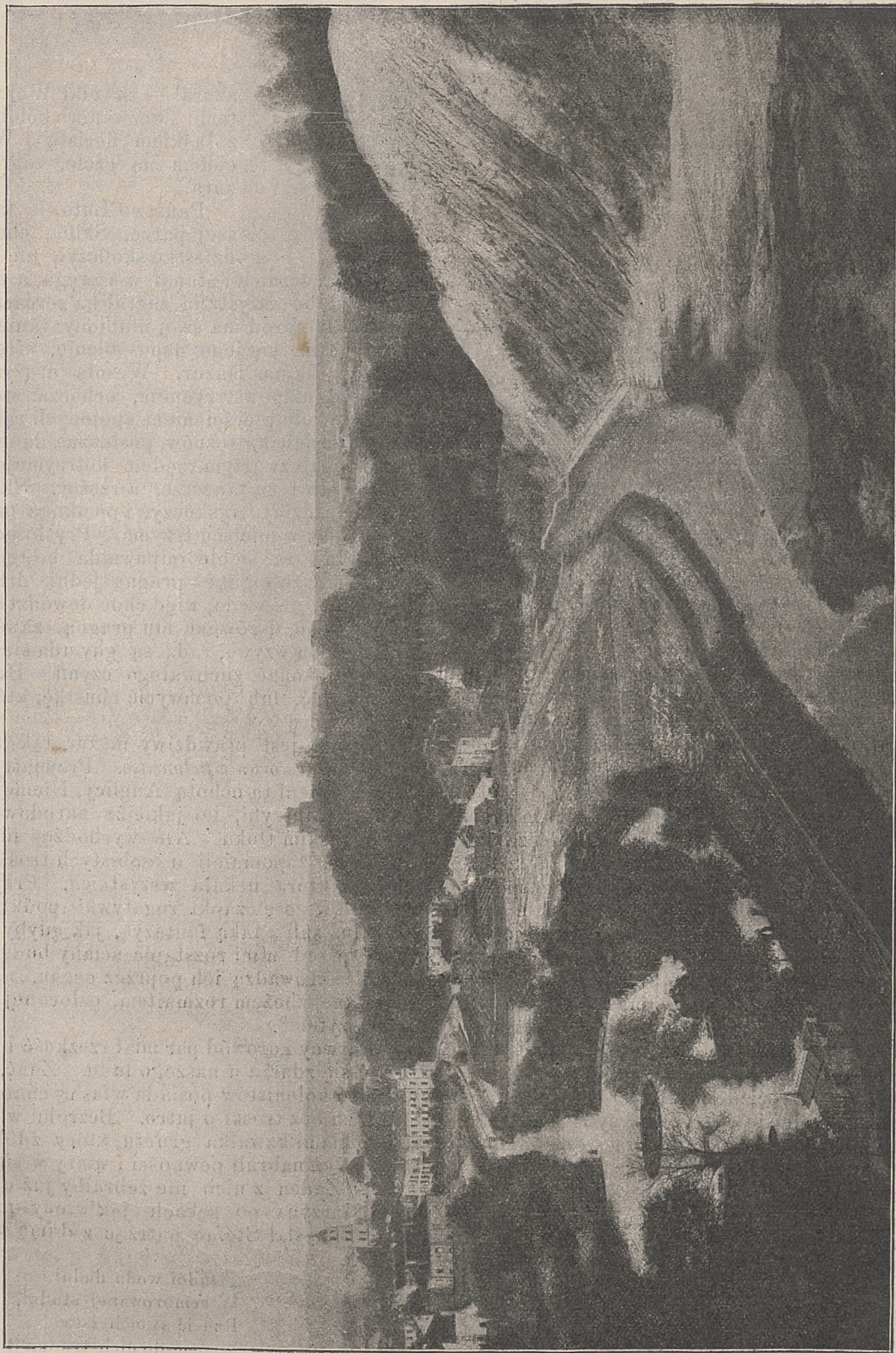
Znów oślepił mnie wielki blask słońca. — Zakryj się kołdrą zawołał Cavor, po tem usłyszałem jak szybko zasunął okiennice, potem nastąpiło pewne wstrząśnienie, i zaczęliśmy się toczyć po jakiejś pochyłości, uderzając jak piłki elastyczne to o siebie, to o ściany domku, to o nasz bagaż, a zewnątrz coś pluśkało i pryskało jakby błoto, lub miadżdżony ciężarem naszej kuli śnieg.

Nareszcie sfera zatrzymała się w swym szalonym biegu, utknęliśmy na jakimś stałym gruncie. Wszystko ucichło. Po chwili wyjrzałem z pod kołdry, w którą cały byłem otulony i zobaczyłem Cavora dyszącego i chrząkającego, jak odsuwał ostrożnie okiennice. Wygramoliłem się powoli, bo czulem się cały strasznie poturbowany. Wyjrzałem przez okno, ciemna noc była na dworze.

— Cóż teraz będziemy robili? — zapytałem Cavora. — Ciemno i głucho dookoła!

— Musimy czekać, — odrzekł aż dzień się zacznie, wtedy zobaczymy.

Zimno było przejmujące.



Ogród w Wilnie (miejsce wystawy rolniczej).

ZE ŚWIATA.

Wystawa w Wilnie (z ryc.)

Wym razem niedaleko nas przejeżdżka po świecie zawiedzie, bo tylko do Wilna, którego widoki i opisy kościołów nieraz już podawaliśmy w „Wieczorach”. Ale Wilno jest tak pięknie położone, że tam zawsze coś nowego znaleźć można. Teraz przesyłamy wam fotografię ogrodu z urwistemi skłonami góry Trzykrzyskiej i Bekieszowej. Z drugiej strony przylega doń kościół Bernardynów i śliczny kościółek Św. Anny, także znany czytelnikom „Wieczorów,” który obecnie podlega gruntownej restauracji. W tym ogrodzie w pierwszej połowie września wrzał ruch nadzwyczajny, huczały maszyny, piszczały lokomobile, rżały dzielne rumaki i t. p. a wieczorami paliły się niezliczone lampy elektryczne. Tłumy sunęły po ścieżkach i drogach. Na Wilejce zrobiono sztuczny wodospad i można było po niej pływać śliczną łódką „Oesią,” poruszaną maszyną na benzynie.

Jaka była przyczyna tego, spytacie?

Oto wystawa, wielka wystawa rolniczo-przemysłowa, urządzona przez towarzystwo rolnicze wileńskie, żeby wykazać stan gospodarstwa wiejskiego, hodowlę zwierząt domowych, i wyroby rzemieślników i fabrykantów z gub. Wileńskiej i kilku sąsiednich. Pisał kiedyś Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi”, że dzielnica ta obfituje w „grzyby, ryby i wędliny” a teraz okazało się, że posiada jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które pracownicy mieszkańcy z żywej swej ziemi wydobywają i przerabiają. To też zjazd z różnych stron był ogromny, aż trudno było poznać zwykle dość spokojne miasto.

Nie będę opisywała wszystkich zajmujących i pożytecznych rzeczy, które tam oglądałam. Powiem wam tylko, że przez kilka dni po wysłuchaniu mszy św. przed cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej lub w kaplicy Św. Kazimierza w katedrze, parę godzin co dzień spędzałam na wystawie z największą przyjemnością.

Najwięcej mnie zajął pawilon „Biruty”; tem mianem uroczej żony księcia Kiejstuta, nazwano spółkę mleczarską kilku obywateli z gub. kowieńskiej. Piszę o tem, bo myślę, że zainteresują czytające te słowa przyszłe gosposie, które wiedzą już, jak się masło robi, że to nie idzie zbyt szybko i jak z płatka. Otóż wyobraźcie sobie, że tam masło otrzymuje się prawie w mgnieniu oka. W jednym miejscu wlewają do zbiorowiska świeże mleko, i wnet otrzymujemy z niego wyborne, doskonale ubite masło i maślanek. Dzieje się to za pomocą poruszanej siłą pary centrifugi, to jest maszyny, która z nadzwyczajną szybkością rozbija mleko i wydziela z niego tłuste części, z których składa się masło. Masła tego wysyłają rocznie po 20,000 pudów do Danii, co naturalnie doskonale się opłaca i przynosi duży dochód. Może częśćkę tego masła zjada tam korespondent „Wieczorów,” Wygnany Urwis (ten z Kopenhagi).

Przyjemnie to wiedzieć, że nietylko my z zagranicy, ale i zagranica od nas coś otrzymuje i to nie surowe materiały, ale już u nas przerobione lub wyrobione.

Przed głównym budynkiem urządzono rodzaj areny, po której oprowadzają ładne konie, bądź luzem, bądź dośiadanę przez dzielnych jeźdźców i widziałam raz nawet jak jeździł dziesięcioletni chłopczyk.

Opodal popisują się cyklicy, jeżdżąc w około na pochyło ustawionym płocie. Jednym słowem, mogłabym wiele jeszcze rzeczy wam opisać, ale kiedy brak miejsca i czas iść na wystawę.

J-a (z Wilna).

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)



azura! — zawołał Wojciech, a posłuszni temu wezwaniu koloniści muzykańcy, z Jaskiem flecistą i Wickiem skrzypicielem na czele, zagrali od ucha mazura.

Państwo Lutowie tańczyli w pierwszej parze, Skiba, choć dawno czterdziestkę skończył, nie wytrzymał, tylko schwycił tanecznicę i stanął w szeregu, a za nim tłoczył się już kto żył, bo wszystkim zagrał na sercach mazur.

Każdy naród ma swój ulubiony taniec, taniec w którym przejawia się jego usposobienie, streszcza tradycya, takim jest dla nas mazur. Wesoła drużyna biegnie śmiało naprzód, niepowstrzymana, ochocza: to uskoczy w bok, to zatoczy koło pierścieniem spojonych rąk, to rozwinie się długim szeregiem, to znów, posłuszna danemu hasłu, staje skupiona lub zwartym rzędem dotrzymuje wodzowi kroku. A niecierpliwi są tancerze, a rzeźcy. Skry sypią się im z oczów, radziby wyskoczyć i pomknąć na środek sali, cóż kiedy rozkaz w miejscu trzyma. Prysło koło, rozbiegły się pary, każda za siebie odpowiada, bo teraz w pojedynkę harcuja. Prześcignąć pragną jedni drugich, czują, że w nich krew nie woda, więc choć dowództwo zdali na najdzielniejszego, dorównać mu pragną, zawsze gotowi biedz tam, gdzie on wzywa, radzi są, gdy uda się któremu na własną rękę dokonać zuchwałego czynu. Bodaj hołupca raźnie skrzesać, lub pochwyć chustkę, którą tancerka wyrzuciła w górę

Takim jest prawdziwy mazur, tak tańczyli go nasi osadnicy w *restaurante polonense*. Przypatrywali się im z za okien zdziwieni tą ochotą Anglicy, Niemcy, Portugalczycy, Mulaci i Murzyni, bo jakiejże narodowości nie znajdzie w Brazylijskim tłoku. Ale wychodzący nie zwracali uwagi na widzów, zapomnieli o osobistych troskach, zapomnieli tęsknoty, która nękała wszystkich. Przytupywali rażno, wyrzucali w górę czapki rogatywki podkręcali wąsa i biegli wzdłuż sali z taką fantazyą, jak gdyby wiedzieli, że muszą się przed nimi rozstąpić ściany budynku, że dźwięki mazura zaprowadzą ich poprzez ocean, napowrót do ziemi „malowanej zbożem rozmaitem, ozłoconej pszenicą, posrebrzanej żytem”.

Barwny korowód par miał rzeźkość i butę, jaką rzadko widzieć się zdarza u naszego ludu. Znać, że każdy z przybyłych tu kolonistów posiada własną chatę i zagon, że wróci do nich bez troski o jutro. Bezrolni w Europie, tu czują się panami kawałka gruntu, który zdobyli mozolną pracą, więc też nabrali pewności i wiary w siebie.

— Zaden z nich nie żebrałby już o radę i nie całowałby Murzyna po rękach, jak wtedy przy wylądowaniu w Rio — myślał Stefan patrząc z dumą na swych współobywateli.

„Dudni woda dudni
W cembrowanej studni,
Rzucić swoich łatwo,
Wrócić do nich trudniej!

Zaśpiewał Olek, wnuk Tomasza Grażeli, który dopiero od miesiąca u dziadka przebywał.

— Gadał Olek co tam u nas robią?

— Jak ziemia odpowiedziała łośńskiego roku?

— Jakie chodzą między ludem pogwary, słyszysz Olek? gadał! — pyta ten i ów. Obstąpili wszyscy Olka, przypatrują mu się wzruszeni, bo on jeszcze taki stoi przed

nimi, jak nawykli widzieć siebie i swoich. Sukmana na nim biała, szeroki kołnierz koszuli zadziergnięty czerwoną wstążką, sparł się ręką w pas z okrutną powagą, a do kapełusza pawich piór nawpinał.

— Słońce chłopak, królewicz! — szepcą kobiety, dziewczyny chichoczą z radości, że swojak tak pięknie wygląda. Mężczyźni oglądają się na zebranych za oknami, jak gdyby powiedziec chcieli gapiom z ulicy.

— Patrzcie do woli i znajcie, że tacy są nasi!

Nasi, nasi? W tem właśnie leżał czar, w tem potęga nastroju tego dziwnie uroczystego zebrania, że się tu czuli wszyscy swoi. Na obcej ziemi ale swoi, silni braterstwem uczuć i wielką żywiołową potęgą jaka leży w ludzkiej. Wyroili się z macierzystego ulla za morze, ale dadzą sobie radę, nie opuści jeden drugiego.

— A pan Luty powie co czynić należy — zabrał nagle głos Antoni Skołuba najstarszy majster fabryki. Odgadł myśli zgromadzonych. Koloniści chcieli uczcić dobrym czynem dzień uroczysty, ten i ów brzęknął pieniędzmi na dowód, że posypią się rejsy, byle pan Luty wskazał, jaką to pilną potrzebę opatrzyć należy groszem w pocie czoła zebranych.

Stefan odczuł dobre chęci swojej drużyny, schwytał rękę żony, wykręcił z nią obertasa tak zwinnie jak najprawdziwszy parobczak krakowski i stanąwszy przed muzyką, zaśpiewał.

„Byłem znajdą i sierotą,
Byłem sam na świecie,
Dziś ode mnie szczęśliwszego
Nigdzie nie znajdziecie.
Idzie z ulla skrzętna pszczoła
W pole na robotę,
Ale znosi matce roju
Swoje miody złote.
Razem, bracia, w obcej ziemi
Razem pracujemy,
Znajda znalazł tutaj szczęście,
Wszyscy byt znajdziemy.
Lecz skupiajmy siły nasze
Zbierajmy grosiwo,
Aby prędzej dojrzęć mogło
Wspólnej pracy żniwo!

— Aby prędzej dojrzęć mogło wspólnej pracy żniwo! zawtórowali Stefanowi obecni. Na wezwanie pana młodego posypały się grosze ze wszystkich kalet.

— Nadstaw Marysieńko fartuszek, zbieraj pieniądze, będzie z czego założyć sklep spółkowy, wyrwać biedaków z rąk lichwiarzy, wendystów, wołał Stefan.

Pani Lutowa nie miała fartuszek przy białej muślinowej sukni, którą uszyła sobie sama, ale miała go Marciniowa ona nie zmieniała dotąd stroju. Żona Stefana umiała sobie już zjednać względy wdowy, podbiegła do niej, pocałowała starą w rękę i odwiązała czerwoną samodzielną zapaskę.

— Wiwat, ślicznie! zawołał pierwszy Jasiek flecista a za nim wszyscy młodzi.

Bo też ślicznie wyglądała młoda pani, i mógł Stefan z radością patrzeć na zarumienioną od wzruszenia żonę, jak wdzięcznie i zręcznie przebiegała salę z końca w koniec, zbierając do fartucha chętnym sercem składane dary. Sypały się rejsy w samodzielną zapaskę, utkaną z polskiej szarej wełny. Nawet Mosiek Rozemperl do był pularesu, on nigdy nie skupił grosza, kiedy pan Luty do dania go zachęcał, dziś jednak właśnie bardzo przed Tomaszem narzekał na straty, jakie poniósł przez ludzi, którzy mu należność w fałszywej oddali monecie.

— Mnie też kilka złych papierków zamylono — dopiero przy miesięcznym obrachunku spostrzegłem oszukaństwo — mówił Grąźła i podszedł do okna, bo usłyszał zwadę, z której mogła wyniknąć bójka.

(d. c. n.)

NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

(Dokończenie).

SCENA XV.

Ciż i Nina.

Nina (*grymasnie*). Ja chcę do mamusi!... chcę do mamusi!...

Wańdzia. Możebyś już spać poszła, Nineczko?

Nina. Nie chcę, nie pójdę spać! Chcę do Wańdzia na rączki.

Wańdzia (*siada, bierze Ninę na kolana i mówi powoli, kołysząc ją i usypiając*). Pieszczotko ty, ptaszyno kochana i Wańdzi smutno, i babci smutno, i Konrasiowi smutno, ale mamusia przyjedzie i tatuś przyjedzie... Jutro znowu Wańdzia zrobi Ninusi barana takiego dużego, czarnego, kudłatego barana i mościwego pana; baran będzie beczał, a pan będzie pytał grubym głosem... (*Dzwonią*). Konraś, idź otwórz.

SCENA XVI.

Ciż, pani Topolska i pan Topolski.

Konraś (*otwierając*). Tatuś! mamusia!

Wańdzia (*z radością*). Rodzice!

Nina (*przecierając oczki*). Mamusia! mamusia!...

SCENA XVII.

Ciż, Walentowa.

Walentowa. Rany Boskie! Józefie święty! Paniska! dyć szczęście! dyć radość!

Pani T. (*całując dzieci po kolei*). Nina, Konraś, Wańdeczka!

Pan T. No, jak się macie, smyki?... Dobry wieczór, Walentowa!

Pani T. Jak się macie? A babcia? Chodźmy do babci!

SCENA XVIII.

Wańdzia, Konraś.

(*Konraś chodzi wielkimi krokami po scenie i wicherzy sobie czuprynę*).

Wańdzia. Konraś, nie róbże tak rozpaczliwej miny. Chwała Bogu, rodzice wrócili i wszystko będzie dobrze!

Konraś. Zapewne, tobie dobrze, anielska istoto! wzorze moralności! beczko rozsądku!

Wańdzia (*z wymówką*). Konrasiu... Konrasiu...

SCENA XIX.

Ciż, pani T. potem pan T.

Pani T. (*całując Wańdzie*). No, jakże się tu moja gosposia sprawowała? Walentowa nie bardzo gderwała?... Ale co wam jest, dzieci, żeście tacy smutni?... Konraś ma tak dziwną minę?... Cóż to, dzieci, czyście nie kontenci, że rodzice wrócili?

Wańdzia i Konraś (*razem*). Cóż znowu! (*oboje całują ręce pani T. i stoją zawstydzeni*).

Pani T. Cóż to?... mówcie prędzej, bo jestem niepokojna! (*Pan T. wchodzi i słucha na stronie*).

Wańdzia. Ach, mamusiu, niech tatuś nie gniewa się na Konrasia.

Pani T. Na Konrasia?

Konraś (*prędko*). Odebrałem z poczty 3 ruble i wszystko straciłem na głupstwa.

Pan T. Żle się stało, żeśmy tak prędko wrócili. I cóżbyście dalej robili?

Konraś (*na stronie*). Ach! tatuś słyszał!

Wańdzia. Na jutro wystarczyłoby z dawniejszych oszczędności.

Pan T. A na pojutrze?

Konraś. Sprzedałbym mój zegarek i musiałyby też wystarczyć.

Pan T. I tak zegarek musisz sprzedać i oddać mi 3 ruble, bo pieniądze przeznaczone na utrzymanie, nie mogą iść na głupstwa.

Konraś (*z radością*). Ach, to dobrze! (*całuje ojca w rękę*). Ale się tatuś już na mnie nie gniewa?

Pan T. Oj, synku, synku, trzeba cię częściej zostawiać na własnym gospodarstwie, żebyś smutnem doświadczeniem nauczył się mądrzej urządzić.

Konraś. O, na przyszły raz, na pewno mądrzej się urządzię!

Pan T. Jak się dobrze będziecie sprawowali, to na przyszły rok wysłę was samych na jaką wystawę.

Pani T. Czy tam konieczne będą potrzebne najznakomitsze okazy głuptaszków?

Pan T. Czemu nie. Słuchajcie dzieci; w Ameryce pewien chłopiec pojechał sam na wystawę do Chicago o kilka tysięcy mil i to bez pieniędzy. Po drodze zarabiał sprzedając gazet, dojechał szczęśliwie, widział dużo ciekawych rzeczy i dał sobie radę. Dzielnym chłopcem! A ty, Konrasiu, pojechałbyś sam jeden?

Konraś. O jej! czemu nie!

Pan T. Ale na pierwszej stacyi, zamiast biletu, nakupowałbyś różnych łakoci.

Konraś. Drugi raz takiego głupstwa na pewno bym nie zrobił, ale namówię moją bandę i pojedziemy razem.

Pan T. Co za bandę?

Konraś. Tatuś nie wie? Amadeusza Rzeźnickiego — to niby Karolka — i Fokusa Pokusa Zawadyackiego, to znaczy Antka.

Pan T. No, z tymi łobuzami to już wolałbym, żebyś nie jechał.

Konraś. To szkoda, tatku, bo oniby mi na każdej stacyi krzyczeli: brawo, brawissimo Mordeliusz Zbójnicki!...

Pani T. A ja wykrzyknę brawo, brawissimo, Wandeczka, bo ona się najlepiej spisała, moja gosposia kochana!

Pani T. i Konraś. Brawo, brawissimo, Wańdzia!...

Wańdzia (*do Konrasia*). Jakto, wzór moralności?... beczka rozsądku...

Konraś. No, nie gniewaj się, Wandeczko, byłem taki zły, a teraz z całego serca krzyczę: brawo, brawissimo Wańdzia!... Już cię nawet niewolnicą nazywać nie będę!...

F. Morzycka.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Jaskółka.)

Pierwsza w morzu, ale nie w stawie,
Druga w nauce, a i w zabawie,
Trzecia w butelce, a nigdy w słoju,
Czwarta jest w sieni, a nie w pokoju,
Piąta jest w bajce, lecz nie w piosence,
Szosta w kieszeni i to w sukience,
Siódma w obłoku, ale nie w chmurze,
I zawsze w dole, a nigdy w górze.
Wszystko — nazwisko malarza,
Ze czcią je każdy powtatrza.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Z nagrodą.

Jaka to rzeka zmienia nazwę swą trzy razy, a wpadając do morza dwoma ramionami, jeszcze dwie odmienne nazwy przybiera? Pierwszą nazwę ma niedaleko od źródła, gdy wypłynąwszy z bagnistej okolicy, małym jest jeszcze strumieniem; drugie, gdy połączywszy się z inną rzeką, znacznie się rozszerza, płynie najpierw równiną, później głębokim wąwozem i tam jej brzegi słyną z malowniczych widoków, szczególnie w okolicy pewnego starożytnego miasta; trzecią ma nazwę, gdy przechodzi w bagnetne niziny, szeroko się rozlewa i do morza zbliża. Przy ujściu dwa jej ramiona, odmienne nazwy noszące, znacznie się od siebie oddalają. Rzeka ta ma liczne dopływy, a najznaczniejszy z nich, z prawej wpadający strony, płynie pod murami dużego miasta.

Za najlepsze rozwiązanie tej zagadki, t. j. za najlepszy opis tej rzeki, przeznaczamy *dwie nagrody*: (powieść „Na wakacjach” i „Mały książę”), jedna dla prenumeratorów z Warszawy, drugą z prowincyi. Termin dwa tygodnie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38.

Szarady: Ka — mil — la.

Łamigłówni sylabowej.

1) ErazM. 2) LamI. 3) IzaaK. 4) ZlotO. 5) AnioŁ. 6) OazA. 7) RaJ. 8) Zamek. 9) EchO. 10) SęP. 11) ZaosiE. 12) KanguR. 13) OceaN. 14) WilkI. 15) AraK.

Eliza Orzeszkowa — Mikołaj Kopernik.



PRENUMERATA WYNOŚI:

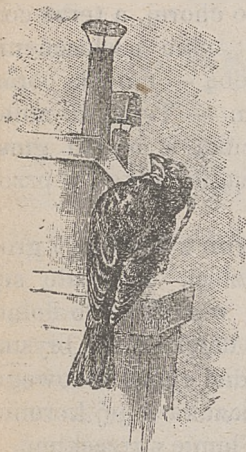
W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Powrót z łowów (ryc.) — Do młodszych braci. wierszyk przez Zygmunta Idzikowskiego. — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — List Helenki J., czytelniczki „Wieczorów” (z ryc.) — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa. — Ze świata (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnym gospodarstwie, komedyjka w 1-ym akcie (dokończenie). — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Ptaszki w odlocie, wiersz przez Zofię Mrozowicką (z ryc.) — Mały fortepianista (z ryc.) — Wróżka sierot. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Ptaszki w odlocie.



Już frunęły w dal bociany,
Płynie klucz żórawi,
Dzikich gęsi sznur związany
W powietrzu się pławi.

I jaskółki czarną rzeszą
Radzą nad odlotem —
Hen, za morza gdzieś się śpieszą
Przed zimy powrotem.

Kto te ptaki w obce kraje
Wiedzie przez bezdroże?
Kto ich skrzydłom siłę daje,
By nosiły przez morze?

Kto upatrzył im kamuszki,
Gdzie spoczną wśród drogi?
Kto na popas zsyła muszki,
Gdy głód zemdli srogi?

A gdy u nas, wiosną nową
Gaj się rozzieleni,
Kto znów drogę lazurową
Wskaże im w przestrzeni?

Kto w gniazdeczko własne zwróci,
Każde drobne ptasze?
To Bóg wielki, co świat stworzył,
I zna myśli nasze.

A gdy czuwa Ojca okiem
Nad każdą ptaszyną,
Jakże nad twym każdym krokiem
Śledzi On, dziecino!...

Zofia Mrozowicka.

MAŁY FORTEPIANISTA.

Słyszeliście już może wyrażenia „nadzwyczajne dziecko,” są to dzieci, które Bóg obdarzył niezwykłym talentem, objawiającym się w bardzo młodym wieku. Jest to wielki dar Boży i niewielu go otrzymuje, choć nie mniejszem szczęściem jest poprostu być „dobrem dzieckiem.”

Jeden z takich nadzwyczajnych rówieśników najmłodszych naszych czytelników, jest to 6-cio letni Miecio Horszowski, obdarzony talentem do muzyki.

Urodził się we Lwowie, w Galicyi w r. 1896. Gdy miał zaledwie trzy lata, matka jego pewnego dnia zagrała na fortepianie śliczny utwór muzyczny „Pieśń bez słów.” Mały Miecio słuchał uważnie, a gdy skończyła, usiadł do fortepianu i z pamięci odegrał cały utwór, nie pominąwszy ani jednej nuty. Było to naturalnie dowodem rzadkich zdolności muzycznych, to też rodzice postanowili go kształcić w tym kierunku. Miecio zdumiewał swoich nauczycieli i małemi rączkami, które mogły objąć zaledwie pięć klawiszy, wygrywał prześlicznie, czytał nuty z nadzwyczajną łatwością a przytem był niezwykle pilny. Codziennie ćwiczył się po dwie, trzy godziny, a to z własnej woli i z prawdziwym zamiłowaniem. Podczas gdy inne dzieci bawiły się i płały figle, on siedział przy fortepianie, nie dziw zatem, że robił takie postępy, iż gdy miał lat pięć, jego nauczyciel, sławny profesor Leszetycki z Wiednia, pozwolił mu wystąpić publicznie.

Nie dość na tem, mały Miecio nietylko odegrywa wybornie cudze utwory, ale sam układa, to jest jak mówią komponuje — własne na fortepian i skrzypce, a po-



Miecio Horszowski.

dobno układa nawet dziecinną operę, przytem jednak zaczyna już po trochu naukę czytania i pisania.

Czy będzie z niego, gdy wyrośnie, wielki artysta i rozumny człowiek, trudno teraz przewidzieć, zdarza się często, że takie nadzwyczajne talenta później giną, zwłaszcza, jeżeli nie są poparte należyłą pracą, a może stanie się on kiedyś tak znakomitym muzykiem jak Wolfgang Mozart, niemiec i nasz Szopen, którzy także w dzieciństwie już okazywali niezwykłą zdolność do muzyki.

Wróżka sierot.

(Dokończenie).

Ale któż tę zmianę opowiedzieć potrafi?

Nagle znikła szara sukienka sierotki, Maleńka miała na sobie błękitne jak jedwab i jak niezapominajka ubranie, złote pantofelki, a z ramion wystrzeliły prześliczne, przezroczyste skrzydełka, zupełnie do skrzydeł łątki podobne i dziewczynka frunęła na nich do sali, gdzie bawiło się tysiące małych, jak ona, dzieci.

Ognik powitał wesoło Maleńką i zapoznał z towarzyszami, ale było ich tak wiele, że imiona pomieszały się w główce dziewczynki. Na środku sali stał wielki stół, uginający się pod mnóstwem cukierków, ciastek i pierników, leżały tam także najśliczniejsze zabawki, lalki z długimi sukniami i włosami do ziemi, mrużyły oczy, wołając: ma-ma, ta-ta, obok były kuchenki, serwisy, gospodarstwa, żołnierze i zwierzęta z blachy złotej, karty, domina, łamigłówki, książki. Czegoż bo tam nie było!

Maleńka wybrała sobie kuchenkę, przypasała fartuszek z listka białej lilii i zaczęła gotować.

Zaraz też Różyczka przyniosła jej cukierków, Jutrzenka ciasteczek utarła na tarce z kolców głogu, a inne dziewczynki nakrywały do stołu.

Chłopczyk tymczasem dostarczył owoców z ogrodu, a usługa szła szybko, bo na skrzydełkach fruwa się chętnie i prędko.

Bal jednak sprzykrzył się dzieciom, jeść długo byłoby nudnie. Maleńka więc chwyta lalczkę, potem kolej żelazną, która jeździ bez nakręcenia, potem katarynkę, co śliczne wygrywa piosenki.

Biega od jednej zabawki do drugiej, natrafiła na książkę z obrazkami, więc czyta z radością ciekawą historię, aż uśmiechnęła się do niej Wróżka z złocistego swego tronu.

Ale na dworze tak ładnie, ptaszki tak wesoło śpiewają, czyż może książka zająć długo, gdy słońce świeci? To też Maleńka buja już po powietrzu. Co to za radość mieć skrzydełka, móż się ścigać z ptaszkami! O! fruwa też fruwa, jak jaskółka, to muśnie skrzydłem sadzawkę, w której złote pływają rybki, to za świecącym robaczkiem popędzi i strachu mu nagoni.

Ale żadna radość długo trwać nie może, nie można zawsze latać po obłokach, sił nie starczy, w główce się zawróci.

Maleńka i tak szczęśliwa, że choć raz dostała skrzydełka, ileż to ludzi pragnie napróżno mieć je na chwilę.

Wróciła zmęczona i tęskniąca, bo skosztowała, co to swoboda i świat szeroki, nie podobają się jej ni ptaszki, ni kwiatki, pragnie czegoś nowego, wtem spojrzy, a tu na krzaku kwitnie biała różyczka, kwiatek skromny, maleńki ale zakazany.

Zapomniała na chwilę, że [nie wolno,] wyciągnęła rączkę i urwała...

Ale teraz dopiero pojęła, jak źle zrobiła, przeleżała się i spuściła oczki. Nie śmiała ich podnieść na wróżkę, która nagle stanęła przed nią taka smutna, żałosna i mówi:

— O Maleńka, jak mogłaś to zrobić? czyż nie dosyć miałaś zabawek i kwiatów. Te różyczki miały dać szczęście biedniejszej od ciebie sierotce, bo chorej, a teraz cóż dla niej zostanie? Ja opiekuję się tylko posłusznymi dziećmi i rzekam się władzy nad tobą — mówiła coraz słodszy, ale coraz cichszym głosem. — Teraz do mnie już nie należysz — dosłyszała Maleńka, z oddali głos, wróżka i cudny jej świat zaczęły nagle znikać w przestrzeni.

Znikł pałac złoty, ogród z cudnymi kwiatami, i gromady fruujących wśród motyli dzieci. Zdawało się Maleńkiej, że leci w otchłań ciemną, wszystko co dotąd widziała, przepada, w tumanie mgły, z daleka tylko błysną jeszcze kolumny pałacu, jeszcze widać rąbek różowego płaszcza wróżki, jeszcze świeci gwiazdka w jej koronie a potem niknie wszystko, zapada się, łamie z trzaskiem.

Maleńka dobywa ostatek sił, chce chwycić za suknię wróżki, ale nie może nawet ręką ruszyć, czuje, że leci w przepaść bezdenną, że w główce wiruje jej wszystko, że chciałaby krzyczeć, a głos zamiera jej w piersiach. Naraz uderzyła się o coś i... obudziła.

Nie może pojąć, co się z nią dzieje, gdzie jest i co ją otacza...

A jednak niema nic przerażającego dokoła niej. Leży na miękkim mchu pod rozłożystą sosną, niedaleko szerokiej drogi, która jasnym pasem przecina las. Słońce już wstało i kąpie swe promienie w kroplach rosy, co się kołyszą na listkach drzew i kwiatków, a obok przebudzonej sierotki kłęczy młoda pani, nie ma gwiazdzistej korony wróżki, ale uśmiecha się tak słodko, jak ona.

Usłyszała krzyk Maleńkiej, przejeżdżając przez las i wyskoczyła z powozu, żeby biedz na pomoc zabląkanemu dziecku.

Maleńka długo, długo nie może przyjść do siebie, zrozumieć pytań dobrej pani, ale ośmielona jej pieszczotą, opowiada nareszcie, jak poszła w świat szeroki, jak zablądziła w lesie, a mateczka uniosła ją w obłoki, jak potem przez nieposłuszeństwo straciła dary wróżki i krzyknęła, bo zdawało jej się, że wpada w przepaść bezdenną.

Dobra pani wytłomaczyła Maleńkiej, że to wszystko snem było tylko, ale, że matka czuwa nad sierotą i jej to modlitwa sprowadziła ją tu do lasu na ratunek biednej Malutkiej.

Odtąd żyły już razem, bo pani nie miała własnych dzieci, sierotce było u niej bardzo dobrze i nie zapomniała nigdy o swej mateczce i o tem, że trzeba dzieciom być posłusznymi żeby zasłużyć na szczęście.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

25. U d z i a d k a.



Idę dziś do szpitala, trzymając w ręku dobrze owinięty słoik, a w nim przepyszny okaz planaryi i osliczki.

Na sali szpitalnej spotyka nas Siostra Miłosierdzia i pyta:

— Czy państwo do Mruczka przychodzą?

— Tak, proszę pani — odpowiedziała mama, bo dziś ze mną poszła.

— Choremu jest znacznie gorzej od pewnego czasu, jest bardzo osłabiony i chwilami traci przytomność. Widzę, kochany chłopcze, że mu coś przynosisz, ale nie wolno mu przyjmować żadnych pokarmów.

— To są robaki, proszę pani, dziadek robaków nie jada, chcę mu je tylko pokazać.

— Nie wiem, czy państwo będą mogli rozmawiać z nim długo, proszę się zbliżyć.

Dreszcz przeszedł mi po skórze, gdy zobaczyłem dziadka; wyglądał jak nieżywy, był bardzo blady i oczy miał przytmknięte.

Po chwili podniósł powieki, a zobaczywszy nas, zwrócił się ku mamie i mówił cicho bardzo:

— Dobra pani... dziękuję za wszystko... Dnie moje są policzone... pozwól... niech pobłogosławię syna twego przed śmiercią...

Przy tych słowach zdjął z siebie złoty krzyżyk na łańcuszku i przerywanym głosem mówił dalej:

— Ty, chłopcze, uszanowałeś człowieka w żebraku, masz szlachetną duszę... tkliwe serce... Jestem sam na świecie... byłeś dla mnie jedyną osłodą na schyłku mojego życia... przyjm ten krzyżyk ode mnie i bądź dla innych nieszczęśliwych takim, jakim byłeś dla mnie...

Mówiąc to, włożył na mnie krzyżyk i przeżegnał chudą, kościstą ręką.

Kłęczałem przy jego łóżku i nie mogłem powstrzymać się od płaczu.

— Dziadku... — chciałem mu dużo powiedzieć, ale łyzy mię dławili, serce ścisnęło.

Wtedy zbliżyła się szarytka i oznajmiła, że stan chorego wymaga spokoju i prosi, żebyśmy go pozostawili samego.

Pocałowałem staruszkę w obie ręce i wyszliśmy.



Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Dążąc za tłumem, rozpraszającym się stopniowo w różne strony, i oni dostali się na Marszałkowską ulicę. Szli wolno, trzymając się za ręce. Warszawa to tak jak Peszt, Presburg, Wiedeń, duże, ruchliwe miasto! Ulica bez końca, dużo śpieszących gdzieś ludzi, pojazdów, wozów, tramwajów, a Wojtaszek myślał, że to tak prawie będzie jak Brzezinki. Państwo w Wiedniu radzili mu zwrócić się zaraz do policyi, powiedzieć wszystko i upewniali go, że zajmą się niemi najskuteczniej, porobią ogłoszenia, i wkrótce powrócą do swoich. Tak, dobra taka rada, ale kogo on zapyta o to wszystko; wszyscy tak prędko chodzą, tak się spieszą, jakby uciekali, nie śmiał kogo zaczepić!

Gaz płonął w latarniach, noc nadchodziła! dziewczynce kleiły się oczy do snu.

— Wojtaszku, czemu stoimy — z płaczem mówiła — chodźmy prędzej do domu, spać mi się chce!

— Dobrze, dobrze, zaraz, tylko widzisz, muszę się dowiedzieć którędy, bo nie wiem.

Przy oknie wystawowem, przy którym stały dzieci, zatrzymała się gromadka uczniów. Jednego z nich Wojtaszek pociągnął lekko za mundur.

— Panie, proszę mi powiedzieć, gdzie tu jest jaki zajazd?

Zapytany odwrócił się ku mówiącemu, a udając ukłon wojskowy, rzekł:

— Jaśnie pan, życzy stanąć w hotelu? Owszem, z całą przyjemnością udzielam wskazówek podróżnym, zasięgającym mej światłej wiedzy. Hoteli w Warszawie mamy dużo: Paryski, Wiedeński, Niemiecki, rekomenduję jednak jaśnie panu Europejski i Bristol, tylko co otwarty. W tym ostatnim znajdzie jaśnie pan wygodę i przepych! Do stópek się ściele, uniżony sługa Ksiński!

Szast, prast nogami, w prawo, w lewo, i wesoła gromadka pierzchnęła, śmiejąc się głośno.

Wojtaszek spojrzął za nimi.

— Co mówił ten chłopczyk? — spytała dziewczynka.

— Nie wiem, zdaje mi się, że ze mnie żartował.

— Dla czego?

— Nie wiem, ot tak sobie; pewnie szczęśliwy, ma wszystko co mu potrzeba, więc wesoły, nie wie nawet może, jaka to straszna rzecz znaleźć się samemu na świecie i nie wiedzieć, gdzie nogę postawić.

Wzięli się za ręce i postąpili kilka kroków naprzód.

Ulice się krzyżowały, pojazdy dążyły w różne strony; trzeba się znów zatrzymać. Znaleźli się obok jakiejś dziewczyny, służącej widocznie, niosącej duży, naładowany kosz. Wojtaszek po raz drugi ośmielił się zapytać.

— Panienko, proszę powiedzieć, gdzie tu jest jaka niedroga oberża, jestem obcy, nie znam miasta.

— To tak, jak ja, mój chłopcze, jestem w Warszawie zaledwie kilka tygodni i znam tylko kilka ulic, ale widzisz, tu przy cukierni na rogu, stoi posłaniec w czerwonej czapce, on cię najlepiej objaśni!

— Dziękuję — szepnął, i już się zawrócił, aby przytrzymać oddalającego się w przeciwną stronę posłańca, gdy naraz stanął przed nim niemłody jakiś jegomość z zaczerwienionym nosem i zażwionymi oczami.

— O co te dzieci pytają? — zagadnął.

— A to o jaki nocleg — objaśniła służąca, odchodząc — to maleństwo prawie już usypia.

Jegomość przyjrzał się dzieciom badawczo.

— Przyjezdni jesteście? — zapytał — szukacie schronienia, a pieniądze macie, aby zapłacić?

— Mamy, mamy panie — rzetelnie zapłacę, tylko nie wiem gdzie iść.

— No, to ja wam pokażę, chodźcie ze mną.

I jakby się obawiając, aby mu dzieci nie zginęły, odebrał od Wojtaska tłumoczek, a małą wziął za rączkę.

(c. d. n.)

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

ul. Czesław S.

Mili czytelnicy, macie tu zadanie:

W pewnej okolicy było polowanie,
Na którym zabito trzykroć więcej lisów,
Aniżeli dzików;

A równie od dzików cztery razy więcej
Zabito zajęcy.

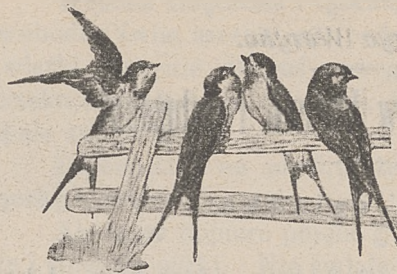
Jeszcze wam to powie, przyjaciel wasz szczerzy,
Że razem zabito sztuk dwadzieścia cztery.
Teraz bardzo proszę, każdy niech obliczy,
Ile sztuk każdego jest gatunku dziczy?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go

Szurady: Ty — kwa.

Wierszyków bez końcówek.

Jak w radosnym śnie,
Przeszły wiosny dnie,
A za nimi wraz
Miły lata czas.
Gdzie z sierpem wśród żniw,
Krzętał się kto żyw,
Dziś już krótszy dzień,
Niesie chłód i cień.
Szumi trzciny kiść,
Czewienieje liść,
Lub w pogodne dni,
Czystem złotem lśni.
Smutnie szumi bór,
A wśród sinych chmur
Skory czasu bieg
Tworzy biały śnieg.
A zwierciadła wód,
Ściśnie gładki lód,
Jak za przeszłych lat,
Posmutnieje świat,
By z zimowych snów,
Z wiosną powstać znów.



Skrzynka do listów.

Wyobrażamy sobie, z jaką ciekawością osiemdziesiąt kilka czytelniczek i czytelników naszych oczekuje dzisiejszego numeru, żeby dowiedzieć się o rezultacie konkursu na wypracowania, lecz szukają go napróżno. Sprawozdanie gotowe, wypracowania, (a jest tyle dobrych i z rysunkami i winietaми!) leżą porozdzielane, ponumerowane i osądzone, tymczasem trzeba przecie umieścić opis *Wystawy gier i zabaw dzieciennych*, która obecnie ściąga tyle światła młodego i starszego na Dynasy. Warszawiaczy mogą ją oglądać, ale ci, co nie mieszkają w naszym mieście żądają sprawozdania i nie można z nim zwlekać. Więc prosimy jeszcze o tydzień cierpliwości. Tymczasem podajemy do rozwiązania zagadkę geograficzną.

Chociaż Jaskółki jeszcze niema, **Rybko z nad Donu**, odpisujemy ci na miły list i dziękujemy serdecznie za przyslaną nam aż z gub. Woroneżskiej lalkę. Strój jej istotnie bardzo oryginalny, i mało przypomina ubiory naszych wieśniaczek; podziwiamy dokładność roboty i cierpliwość wykonawczyni, bo chyba sama jedna nie mogłaś wszystkiego uszyć, zwłaszcza siermięgi. A jaki wzrost ogromny! wygląda na trzyletnie dziecko! Pani lalka przeżyła szczęśliwie daleką tę podróż, trochę uszkodziła sobie głowę, aleśmy to naprawili. Przesłaliśmy ją w twoim imieniu *Komitetowi wystawy gier i zabaw* jako okaz ubioru ludowego, przez ciąg wystawy będzie oglądana przez zwiedzających. Roboty twoje nadeszły także, obiecane listu oczekujemy.

Henrykowi Cz. Słuszne i wzniosłe są myśli, które z takim zapalem wypowiedziałeś w twoim liście do nas. Tak, chęć jest pobudką działania, a dobra wola źródłem dobrych uczynków, dla tego też trzeba kształcić w sobie tę dobrą wolę i prosić o nią, jak to zalecał jeden z największych naszych poetów.

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypełń kąkole.

I daj wiekiste

Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę.

Jastrzębowi. I dla nas Cavor jest bezporównania więcej sympatyczny niż jego towarzysz. To typ prawdziwego uczonego, który nie dba o zysk lub pożytek dla siebie, lecz o postęp nauki i dobro ludzkości.

Pani Ż. D. Żądane książki podług kartki i numeru „Wieczorów” wysłaliśmy.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Polna Różyczka z nad Rawki (arytmogryf). Olita P. (logogryf) Sielecki i Kapelec, Jastrząb, Baśka, Borówka (zagadka), Juraś C. Prosimy o szurady i zadania na rozsypane listery, których stosunkowo mało otrzymujemy.

Żarcik na zakończenie.

Gościnny Tadzio. — Niech pani jutro przyjdzie na obiad...
— Czy tak lubisz nasze towarzystwo, mój chłopcze?
— Nie... tylko że wówczas zawsze bywa legumina!

Olita P.

Teatr Maryonetek.

odświeżony i gustownie przyozdobiony rozpoczął powakacyjne przedstawienia nowej sztuczki „W królestwie podziomków” oraz *Latarnia Czarodziejska* z objaśnieniami.

Początek w niedzielę o godz. 4-ej, w czwartek o godz. 6-ej, w sobotę o 5-ej po południu.

Chmielna Nr.9.